

Rosyjska

---

namiętność



REYES MONFORTE

Rosyjska  

---

namiętność

Przełożył Zbigniew Zawadzki

WYDAWNICTWO WAM

Książka zdobyła Nagrodę im. Alfonsa X Mądryego dla powieści historycznej ufundowaną przez bank Castilla-La Mancha oraz wydawnictwo Espasa Libros. Grupo Planeta, przyznana przez jury w składzie: przewodnicząca Soledad Puértolas, Almudena de Arteaga, Javier Moro, Javier Negrete i Ana Rosa Semprún.

tytuł oryginału:  
UNA PASIÓN RUSA

© Reyes Monforte, 2015  
© Espasa Libros S. L. U., 2015

© Wydawnictwo WAM, 2017

Opieka redakcyjna: Dorota Trzcinka  
Redakcja: Lidia Kośka  
Korekta: Pracownia Edytorska Od A do Z (oda-doz.pl)  
Opracowanie okładki na podstawie projektu Magdy Kuc:  
Izabella Marcinowska  
fot. © Anna Mutwil / Arcangel  
fot. © Photogid / Shutterstock  
Skład: EDYCJA

ISBN 978-83-277-1178-6

WYDAWNICTWO WAM  
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków  
tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003  
e-mail: wam@wydawnictwowam.pl  
www.wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY  
tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496  
e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA  
tel. 12 62 93 260  
e.wydawnictwowam.pl

druk: ABEDIK • Poznań

Publikację wydrukowano na papierze Creamy HiBulk 60 g wol. 2.4  
dostarczonym przez ZING Sp. z o.o.

*Dla Pepe, bohatera mojej najpiękniejszej historii*



Musimy żyć. Nieważne, ile niebios upadło.

D.H. LAWRENCE, *Kochanek lady Chatterley*





To właśnie wtedy dowiedziałam się, że miłość jest nie tylko źródłem radości i zabawą, ale też częścią niekończącej się tragedii życia, że niesie w sobie zarówno wieczne potępienie, jak i przemożną siłę nadającą życiu sens.

NADIEŻDA MANDELSZTAM

Jesteśmy naszą pamięcią,  
jesteśmy tym chimerycznym muzeum niestałych form,  
tym stosem potłuczonych luster.

JORGE LUIS BORGES, *Cambridge*

(...) choć osamotniony,  
Swobodę myśli przekładam nad trony.

BYRON, *Don Juan*



Jeśli za bardzo rozpieszczano cię w dzieciństwie, później-  
sze życie może okazać się nieznośnie trudne. Lina wcale nie  
twierdziła, że ta zasada, powtarzana w jej rodzinie do znu-  
dzenia, aż stała się swego rodzaju mantrą, stanowi wyjaśnie-  
nie, dlaczego znalazła się w krainie wiecznej zmarzliny, gdzie  
zima trwa osiem miesięcy, temperatura spada poniżej mi-  
nus pięćdziesięciu stopni Celsjusza, a wiatry znad Arktyki  
przynoszą śnieżne burze, zakrywające kilkumetrową pierzy-  
ną śmiertelnie groźną tundrę, pokrytą mchem i błotem. Od  
dawna już przestała zadawać sobie pytanie, za co los posta-  
nowił się na niej zemścić, zsyłając ją w to miejsce, położone  
na północ od sześćdziesiątego siódmego równoleżnika.

Jej życie było jak nieustające święto do chwili, kiedy ktoś  
nagle zgasił światło, a cęgi z kutego żelaza rozdarły na strzę-  
py jej wcześniejszą egzystencję. Mogła się tego spodziewać,  
mogła właściwie zinterpretować pewne sygnały, które teraz  
jawiły się przed jej oczami całkiem jasno i wyraźnie, mimo  
nocnej ślepoty, na którą zapadła w lodowym piekle i z której  
powodu musiała przemykać się wśród łagrowych baraków  
jak cień, próbując namacać wejście do baraku kuchennego rę-  
kami popękkanymi od północnego wiatru. Miała w nim zjeść  
swoją ostatnią dzienną rację – kubek rozwodnionej zupy ze  
zgniłej kapusty z kromką kwaśnego chleba. Był to cały po-  
silek na zakończenie czternastogodzinnego dnia przymu-  
sowej pracy. Uśmiechała się z tą samą godnością, jaka była  
widoczna na jej twarzy, gdy sędzia skazywał ją na dwadzieścia

lat w obozie stanowiącym część Gułagu. Została oskarżona o szpiegostwo i zdradę ojczyzny. Nie była rozpieszczonym dzieckiem. Raczej osobą, która ocalała i próbuje się przystosować do warunków i scenariuszy wymyślanych przez życie. Do postojów na stacjach, na których wolałaby nigdy nie stawać stopy.

Jak co noc jej pamięć przywoływała słowa, które Karolina, babcia ze strony matki, wypowiedziała do niej spokojnym i swojsko brzmiącym głosem. Babcia była nauczycielką literatury francuskiej i pisała nowele, które opowiadała swojej jedynej wnuczce, słuchającej ich z szeroko otwartymi oczami. Lina spędzała długie miesiące wakacji na Kaukazie z babcią oraz dziadkiem Władysławem Adalbertowiczem Niemyskim – polsko-litewskim arystokratą, piastującym wysokie stanowiska w rządzie rosyjskim w okresie rozbiorów, kiedy jego rodzinne ziemie należały do Rosji. Mieszkali w przytulnym drewnianym domu położonym pośród bujnej roślinności i wodnych kaskad, wśród krajobrazów, które rozbudzały w dziewczynce miłość do przyrody. Jej dzieciństwo rozbrzmiewało bajkami La Fontaine’a czytаныmi po francusku. Ale jej ulubioną bajką był *Świerszcz* Jean-Pierre’a Claris de Floriana. Lina mogła słuchać tej historii tysiące razy, nie nudząc się, choć morał zrozumiała w pełni dopiero jakieś czterdzieści lat później. Jej pamięć przez cały czas przechowywała melodię i słowa opowiadki.

*Raz biedny świerszcz niepozorny*

*Ukryty przez ziola kwitnące*

*Patrzył, jak motyl niesforny*

*Fruwa beztrosko po łące.*

*(...)*

*„Ach! wzdychał świerszcz, jak moje i jego*

*Różne są losy! Jejmość natura*

*Jemu dała wszystko, mnie zaś niczego:  
Talent mój marny, jeszcze gorsza figura”.*  
(...)  
*Gdy świerszcz tak biadał, na ląkę stadkiem  
Nadbiegły dzieci i zaraz  
Widać, jak wszystkie naraz  
Motyla ścigają (...).  
Wkrótce zostaje złapany.  
Jeden ciągnie za skrzydło, drugi nie szczędzi główki,  
(...)  
Nie trzeba było wcale aż tyle harówki,  
By biedny zwierzak padł rozzerwany.  
„Och! och!, mówi świerszcz, już myślę pogodnie;  
(...)  
Aby żyć szczęśliwie, żyjmy niepozornie”.*

Po skończonej bajce babcia Karolina zawsze przez dłuższą chwilę milczała, przyglądając się wnuczce, po czym powtarzała jej dla pamięci morał po francusku: *Pour vivre heureux, vivons cachés* – „Aby żyć szczęśliwie, żyjmy niepozornie”.

To właśnie ona pomogła Linie zwalczyć strach przed ciemnością. Pewnej nocy, kiedy dziewczynka prosiła ją, żeby pozostawiła w pokoju zapalone światło, babcia Karolina usiadła na jej łóżku i zaczęła się bawić długimi warkoczami małej.

– Zamknij oczy i słuchaj ciszy, odgłosów burzy i wycia wilków... To jest muzyka, moje dziecko, cudowna partytura. Powinnaś się w nią wsłuchać uważnie. Niczym ci nie zagraża, towarzyszy ci tylko, żebyś wiedziała, że nie jesteś sama.

Wspomnienie głosu babci przynosiło pocieszenie. Lina próbowała ułożyć jakoś zbolące ciało na wąskim sienniku rzuconym na drewniane deski, gdzie sypiała. Mocno zaciskała powieki, aż do bólu. Poczwała w oczach bolesne ukłucia,

towarzyszące pękaniu ropnych strupów, które utworzyły się z powodu siarczystego mrozu i wyniszczenia niedożywionego organizmu. Ale nie przejmowała się bólem. Niemal cieszyła się, że rana się otworzyła i wycieka z niej strumyczek czegoś ciepłego, co spływa po policzkach. Jej oczy błyszczały z powodu gorączki, nękającej ją od kilku dni. Teraz starała się ich nie otwierać, zmarszczyła brwi, starając się skupić na obrazie, który towarzyszył jej przed chwilą. Chciała do niego powrócić. Poczuć raz jeszcze ten sam błogostan jak wtedy, gdy Siergiej komponował, a ona siedziała u jego boku z wyrazem uległości w oczach, gotowa poddać się bez oporu światu niekontrolowanych doznań. Ciągi nut, których całe mnóstwo wydostawało się nieustannie z umysłu Prokofiewa, aby za pośrednictwem jego szczupłych i bladych palców zaatakować z impetem klawisze fortepianu, przenosiły ją do odmiennego, dalekiego świata. Ten świat, osadzony w innym wymiarze, był oddalony od ziemi, po której stąpała, i od codziennych problemów. Lina odbierała tę muzyczną nirwanę jako zapowiedź wieczności. Bardziej niż kiedykolwiek potrzebowała teraz wrócić do tamtego świata, do tamtych chwil życia, kiedy wszystko się zaczęło, kiedy los zaczął zapisywać jej historię z niezmierną beczelnością, którą zawsze w jej przypadku wykazywał. Potrzebowała posłuchać muzyki swojego życia.

Dobiegające z zewnątrz wycie wilków też mogłoby stać się częścią tej samej partytury, która zaczynała powstawać w umyśle Liny, ale kompozytorka nie dała mu na to przyzwolenia. Od dawna już nie bała się wilków, podobnie jak nocnych ciemności, a nawet niepokojących odgłosów, które dobiegały z baraków łagru w Abez niedaleko Workuty. Bała się tylko zapomnienia. Jedyнным luksusem, który chronił ją i pozwalał jej nie czuć wszechobecnego zimna, były wspomnienia. Wiedziała, że każdy dzień pracy w łagrze odbierał

jej rok życia, ale każda noc wypełniona wspomnieniami przedłużała je o te utracone dwanaście miesięcy. Cieszyła się, że jej pamięć nie blaknie, bo była jedynym lodołamaczem, jakim Lina dysponowała. Jedyne życie, które potrafiła sobie stworzyć, żeby nie zostać pokonaną przez los, polegało na przechadzaniu się pośród wspomnień. Oczywiście wspomnienia bołą i pieką, jak alkohol wylany na otwartą ranę. Ale w ostatecznym rozrachunku leczą, uzdrawiają zranione ciało i usuwają infekcję, choć na skórze pozostaje blizna – ślad, który nigdy nie zniknie.

Lina przykryła się wystrzępionym kocem, a jej ciało zmieniło się w nieokreślony kształt ukryty pod wytartym materiałem, będącym siedliskiem brudu, pluskiew oraz wszy. *Pour vivre heureux, vivons cachés*. Słowa powtarzane przez babcię przejęły rolę pałeczki z kości słoniowej, dostatecznie lśniącej i jasnej, by odcinała się od ciemności sali koncertowej, w którą wyobraźnia Liny zamieniła obozowy barak. Widziała, jak pałeczka drży między jej palcem wskazującym a kciukiem, szukając najlepszej pozycji. W końcu – stabilna i pewna – była gotowa, by subtelnym ruchem przeciąć powietrze i zacząć odmierzać rytm odczytywany z pięciolinii pamięci.

W umyśle Liny pojawił się pierwszy obraz. Zobaczyła załane słońcem wieże Notre Dame, jaśniejącą w świetle kopułę kościoła Inwalidów, skąpaną w jasnych promieniach wieżę Eiffła. Zobaczyła siebie samą, witającą nowy, 1924 rok przy stoliku u Pruniera – w jednej z najlepszych paryskich restauracji, w której później dzieliła się z Ernestem Hemingwayem półmiskiem ostryg uzupełnianych kolejnymi kieliszkami sancerre. Podobnie zresztą było podczas ich pierwszego spotkania w kawiarni Le Pantheon w pobliżu placu Saint-Michel, które też sobie przypominała. Po kilku sekundach wyobraźnia Liny przeniosła ją znów do luksusowej restauracji

Pruniera, bez wątpienia jej ulubionego lokalu we francuskiej stolicy. Była tam pierwszego dnia, kiedy mogła już wychodzić z domu po urodzeniu pierworodnego, Światosława. Przyszła na kolację w towarzystwie przyjaciół – Maurice’a Ravela, Francisa Poulenca i Raymonda Roussela. Babcia Karolina miała rację: zamykając oczy, Lina była w stanie usłyszeć *Préludium do Popołudnia fauna* Debussy’ego, które rozbrzmiewało tak często w jej domu przy paryskiej rue Valentin Haüy pod numerem 5. Widziała samą siebie, jak mknie wraz z Siergiejem saniami po zamarznętej rzece Moskwie i ogląda widowisko z udziałem promieni słonecznych odbijających się od Kremla. Kolejne obrazy biegły coraz bardziej w głąb, odtworząc podróż jej życia. Znów pozwalała się uwieść magnetyzmowi Marleny Dietrich, podnoszącej kieliszek, aby stuknąć się z nią w restauracji Victor Hugo w Beverly Hills, wymieniała zwierzenia z Coco Chanel, która twierdziła, że „aby być niezastąpionym, trzeba się ciągle zmieniać”, i słuchała intymnych zwierzeń Walta Disneya, który – jak wszyscy – był nią zafascynowany. Patrzyła znów w wielkie oczy Pabla Picassa, który mówił jej, że jest zachwycającą kobietą, a „ten Rosjanin nie zrobił nic, żeby na nią zasłużyć”. W studiu panny Stein, pod numerem 27 przy rue de Fleurus, słuchała jej słów o tym, że „człowiek może sobie kupować obrazy albo stroje”, ale że „nie wierzy, by był w stanie kupować jedno i drugie, niezależnie od tego, jak byłby bogaty”. Przypominała sobie szczerść Kiki z Montparnasse’u, szepczącej jej do ucha, że „w Paryżu wszyscy mówią o miłości, ale nikt nie umie jej uprawiać”. Śmiała się, wspominając komentarz jej bliskiego przyjaciela, twórcy Ballets Russes, Siergieja Diagilewa, siedzącego na brzegu łóżka, w którym Lina dochodziła do siebie po drugiej ciąży: „Kobieta z synem jest jak generał; z dwoma staje się marszałkiem”. Pamiętała pełne zrozumienia spojrzenie generała de Gaulle’a całującego



jej dłoń: „Niecierpliwie czekamy na panią w Paryżu, pani Prokofiew”, uparte pytania Federica Garcíi Lorki: „Jest pani pewna, że nie urodziła się w Kordobie?”, pełne śmiechu biesiady z Charlesem Chaplinem, Imperium Argentyną i Igo-rem Strawińskim w jego letnim ustroniu La Fléchère nad jeziorem Bourget, noc w paryskim Empire spędzane na słuchaniu Carlosa Gardela i lakoniczne zdanie Pierre’a Reverdy’ego zapisane na kartce: „Co stałoby się z marzeniami, gdyby ludzie byli szczęśliwi?”. Coco Chanel miała rację: pamięć jest rodzaju żeńskiego.

Utrzymując się od dłuższej chwili głuchy stukot prze-rwał serię obrazów, które wyświetlała pamięć Liny. Nie miała problemów ze zidentyfikowaniem źródła tych hała-sów. Nie musiała nawet specjalnie podnosić wzroku, żeby w szparach między deskami baraku dostrzec, jak głowy więźniów, których martwe ciała ciągnięto po schodach, ude-rzają o ich stopnie. Była oswojona z tym widokiem aż nad-to. Jakby chodziło o dobrze dostrojoną orkiestrę, w odgłosy nocy włączały się coraz to nowe dźwięki: Lina rozpozna-wała stłumiony szloch dobiegający z pryczy poniżej, zmie-szany z serią niezrozumiałych słów modlitwy, świst wia-tru przedostającego się przez szczeliny w ścianach, szepty którejs z więźniarek dręczonej koszmarnym snem; do tego dochodziły jeszcze dźwięki dobiegające z innego wymiaru czasowego: pobrzękiwanie kluczy noszonych przez strażni-ków więzienia Lefortowo, gęsta cisza korytarzy Łubianki, wiadomości wystukiwane łyżkami o ściany cel i nadawane alfabetem Morse’a – w jedynym dostępnym więźniom ję-zyku – zaczynające się zawsze od pytania: „Kto ty jesteś?”. A przede wszystkim głos sędziego śledczego Riumina: „Czasami życie przenosi nas w miejsca, które nam nie od-powiadają, i nie możemy na to nic poradzić; pozostaje po-godzić się z losem”.

Lina zwinęła się w kłębek, prycza zaskrzypiała, jakby i ona jęczała pod ciężarem rzeczywistości. *Pour vivre heureux, vivons cachés. Pour vivre heureux, vivons cachés.* Jej umysł poszukiwał jakiejś deski ratunku, która pozwoliłaby jej nie utonąć; żeby ją znaleźć, musiała wrócić do początku, do miejsca, gdzie wszystko się zaczęło, gdzie po raz pierwszy przybrała kształt jej wielka namiętność, która doprowadziła ją do najokrutniejszego z piekieł...

## CZĘŚĆ PIERWSZA

---

### *Nowy Jork*

Miłość –  
to z prześcieradeł  
bezsennością rwanych  
zrywać się (...).  
Dla nas  
miłość  
to nie ustronie w raj,  
dla nas  
miłość  
huczy tylko o tym,  
że znowu,  
znowu do pracy się nadaje  
serca  
wystygły motor.

WŁODZIMIERZ MAJAKOWSKI, *List z Paryża*  
*do towarzysza Kostrowa o istocie miłości*



– Ta przekłeta grypa narobi więcej złego niż wojna.

Olga Niemyska przytrzymywała słuchawkę telefonu jedną ręką, w drugiej trzymając kubek mleka przeznaczony dla cierpiącej na anemię córki. Był wieczór i dzwonek telefonu zakłócił rodzinny spokój w mieszkaniu przy Washington Heights pod numerem 145. Niedawno się tam wprowadzili. Telefon zaniepokoił Olę. Reagowała tak zawsze, gdy dzwonek rozlegał się po dziewiątej wieczorem, a jej mąż, Juan Cordina, był akurat w podróży poza krajem. Jednakże szybko rozpoznała dobrze znany głos przyjaciółki, Wierę, która zapraszała ją na koncert w nowojorskiej Carnegie Hall. Miał się odbyć nazajutrz, we wtorek 10 grudnia 1918 roku.

– Zabroniłam Linie podróżować metrem i piętrowymi pociągami. Są źródłem infekcji. Tak, tak... Oczywiście, że sobie przypominam, przecież to ja ją urodziłam... Wiem, że ma dwadzieścia lat i nie jest dzieckiem. Ale ma dość problemów z anemią. Tylko tego jej potrzeba, żeby złapała tę sakramencką grypę. Hipochondryczka? Wiera, proszę cię, przecież jesteś specjalistką...

Wiera Danczakowa była uznaną badaczką w dziedzinie nowotworów i pionierką prac nad komórkami macierzystymi. Trzy lata wcześniej porzuciła swój rodzinny Sankt Petersburg i wyemigrowała do Stanów Zjednoczonych, zniechęcona niestabilnością, jaka zapanowała w jej ojczystym kraju w związku z udziałem Rosji w wielkiej wojnie, dewastującej świat od 28 lipca 1914 roku.

– Jesteś biologiem i powinnaś wiedzieć lepiej niż ktokolwiek inny, że grypa zabije więcej ludzi niż ta przeklęta wojna, chociaż nikt nie chce tego głośno powiedzieć – kontynuowała Olga. – Za każdym razem, kiedy słyszę, jak Lina kaszle, serce zamiera mi w piersi. A ty mówisz, żebym nie przesadzała.

Ta piękna kobieta o długich, jasnych włosach i zjawiskowych niebieskich oczach mówiła szybko, nie robiąc pauz, lecz wystukując wypowiedzianymi słowami przyjemny dla ucha rytm. W jej głosie słychać było melodyjność charakterystyczną dla wielkiej sopranistki, która całkiem niedawno przemierzała Europę, występując na jej scenach. Olga pochodziła z bardzo starej rodziny, co często lubił podkreślać w żartach jej mąż Juan Codina, hiszpański tenor urodzony w Barcelonie, którego poznała, gdy oboje przebywali we Włoszech, w szkole przy Teatro alla Scala w Mediolanie. Choć Olga nie lubiła o tym opowiadać, jej rodzina ze strony ojca, Niemyscy, należała do pradawnego rodu wywodzącego się od polskich królów. Ojciec, Władysław, zajmował ważne stanowiska w rosyjskiej strukturze politycznej, w której zawsze wyróżniał się liberalnymi poglądami, choć lubił także obnosić się ze swoją surowością i formalizmem. Olga, powodowana najwyraźniej chęcią podkreślenia, że nie przywiązuje do tych spraw wagi – czy to ze skromności, czy ze wstydu – marszczyła brwi za każdym razem, kiedy w gronie przyjaciół przypadło jej wspomnieć (zawsze na prośbę męża), że jej ojciec był radcą stanu. Być może dlatego, a także ze względu na katolicyzm Juana Codiny – Niemyscy byli kalwinistami – ojca Olgi nie napawała entuzjazmem idea zawarcia przez córkę małżeństwa z kimś, kogo nazywał w zwykłym amato rem.

– Nie jest nawet wystarczająco dobry, żeby błyszczeć własnym blaskiem. To zwykły amator. Kto to widział, żeby

artystę męczyła trema? Równie dobrze mogłabyś wyjść za dozorcę – powiedział w końcu córce, kiedy ta upierała się, żeby porozmawiać o małżeństwie.

Wszystkie ojcowskie obiekcje zniknęły, gdy 20 października 1897 roku pod numerem 4 przy ulicy Bárbara de Braganza w Madrycie na świat przyszła Carolina Codina Niemyska. Od tego dnia, kiedy tylko rodzice dziecka wyjeżdżali na tournée, Lina zostawała pod opieką dziadków na Kaukazie – jeśli było lato, albo w Odessie – jeśli działo się to podczas rosyjskiej zimy. Mała czuła się u nich szczęśliwa, bo miała wszystko, czego potrzebowała w swoim życiu sześciolatki: miód – smakołyk szczególnie bliski jej dziecięcemu podniebieniu, który zresztą sama umiała wybierać z uli dzięki rozumnym lekcjom, jakich udzielał jej zaprzyjaźniony z dziadkami pszczelarz, a przede wszystkim teatr. Mała Lina śpiewała, recytowała i tańczyła w salonie dla jednego widza: dziadka Władysława. Surowość, którą zwykle demonstrował starzec, rozpuszczała się jak kostka cukru w kubku ciepłego mleka, kiedy wnuczka siadała mu na kolanach i patrzyła na niego na wpół przymkniętymi oczami. To spojrzenie odziedziczyła po Juanie Codinie; to ono wiele lat później wzmacniało magnetyczną siłę jej oczu. Dziadek pozwalał nawet, żeby małe paluszki dziewczynki bawiły się jego długą i gęstą brodą. Tym przywilejem nie cieszyła się nawet jego żona, która nieustannie ostrzegała męża:

– Zanadto rozpieszczamy tę małą, a ty jesteś za to w największym stopniu odpowiedzialny.

Już w wieku czterech lat Lina była prowadzana przez dziadka za rączkę do najlepszych restauracji w mieście i dostawała ogromne bukiety kwiatów, które on sam starannie przygotowywał. Dziadek pozwalał jej wybierać jajka od kur i uczył ją naśladować dźwięki wydawane przez gęsi, za

którymi dziewczynka biegała z małym kijkiem, nieraz przyplacając tę śmiałość przykrym upadkiem.

Ale kiedy w listopadzie 1907 roku dziadek Władysław zmarł na zapalenie płuc, którego jego organizm nie zdołał zwalczyć – było to zaledwie dwa lata po pogrzebie jego żony – Olga i Juan uznali, że nadeszła pora, by rzucić się w wir nowej przygody, z dala od Europy, szczególnie od Rosji, do której nigdy więcej już nie wrócili. W pierwszy dzień nowego, 1908 roku wylądowali na Ellis Island z walizką pełną marzeń. Do portu, stanowiącego dla milionów imigrantów bramę wejściową do Stanów Zjednoczonych, dotarli na pokładzie statku Statendam, który kilka dni wcześniej, 21 grudnia 1907 roku, wypłynął z Boulogne-sur-Mer. Od tej chwili Nowy Jork stał się ich domem. Od pierwszych dni mieli świadomość, że ani on – czterdziestolatek, ani ona – trzydziestopięciolatka nie są w najlepszym wieku do rozpoczynania oszałamiającej kariery muzycznej w nowym kraju. Ale Juan i Olga aspirowali wyłącznie do tego, żeby mieć trochę lepsze życie. Za sprawą charakterystycznego dla tej rodziny zapału Lina opanowała pięć języków: rosyjski, którego nauczyła się od matki i wcześniej od dziadka Władysława, angielski, który przyswajała sobie od opiekunek, francuski – język, którym mówiła babcia Karolina, hiszpański, którego nauczyła się dzięki ojcu, a także, ku niezadowoleniu Olgi, kataloński. Matka Liny wciąż strofowała męża:

– Nie rozumiem, dlaczego musisz mówić do swojej córki po katalońsku. Przecież ten dialekt nigdy jej nie będzie potrzebny!

Jeszcze wiele lat później Lina pamiętała, że te słowa budziły w ojcu wielki gniew. W takich chwilach wydawało jej się, że jego wydatny, czarny wąs zaczyna żyć własnym życiem.



– Dialekt? Kataloński to zupełnie odrębny język. Lina, powiedz matce, że Katalonia była wielkim mocarstwem, obejmującym część Hiszpanii, Prowansji i Langwedocji. No proszę, powiedz jej to, bo chyba zapomniała.

Olga kręciła głową z wyraźną dezaprobatą, mrużąc przy tym:

– Wielkie imperium... Idź i opowiedz tę bajkę carowi Mikołajowi II... Jemu opowiadaj o wielkim imperium... i carowej.

W takich momentach rodzice Liny zaczęli porozumiewać się ze sobą za pomocą pisemnych notatek, żeby córka nie mogła usłyszeć dalszego ciągu rozmowy. Zawsze też tak postępowali, kiedy musieli porozmawiać o problemach finansowych.

– Nie róbcie tego. Przestańcie pisać, bo nie wiem, o czym mówicie – protestowała zwykle mała, ale na próżno.

Rodzice Liny dość szybko nawiązali kontakty z licznym nowojorskim środowiskiem rosyjskich uchodźców. Cała rodzina chętnie spotykała się z nimi, by jeść, pić i godzinami debatować o abdykacji cara Mikołaja II, dojściu do władzy bolszewików i pojawieniu się na scenie niejakiego Włodzimierza Iljicza Uljanowa, którego niedługo później świat poznał pod nazwiskiem Lenin. Podczas tych spotkań z rodakami można było usłyszeć różnego rodzaju opinie – od najpoważniejszych do najbardziej szalonych.

– Mówią, że żona cara rzeczywiście była niemieckim szpiegiem. Dlatego dokonano zamachu na Rasputina, który miał za duży wpływ i na nią, i nawet na decyzje podejmowane przez samego cara. Słyszałem, że Rasputin wykorzystywał hipnozę.

– Przypomnijcie sobie, jak trudno go było uśmiercić: nie wystarczyła ani trucizna, ani kule. W końcu wrzucili go do Newy i tam się utopił.

– Nie mogę uwierzyć, żeby zrobili to rosyjscy arystokraci. Słyszałam, że w zamachu brały udział brytyjskie tajne służby...

– Nie zdziwiłbym się, bo mieszkałem jakiś czas w Anglii. Ale że cara Mikołaja zawiadła nawet jego własna rodzina! Ani syn, chory na hemofilię, nie nadawał się na jego następcę, ani córki. A kiedy poprosił o azyl polityczny króla Anglii Jerzego V, swojego kuzyna, z którym zresztą byli podobni jak dwie krople wody, tamten mu odmówił, bojąc się rewolucyjnej zarazy. Nie chciał ryzykować i nawet zmienił nazwę dynastii królewskiej. Jednym pociągnięciem pióra wykreślił dynastię saksońsko-koburską, bo brzmiało to zbyt niemiecko. To wcale nie żart. I nazwał się pierwszym monarchą z domu Windsorów!

– Cała Europa boi się, że rewolucyjny duch bolszewizmu się rozniesie. Boją się tej pandemii bardziej niż grypy. Za każdym rogiem wietrzą spiski, szpiegów i próby zamachu stanu. W tej chwili Ameryka to chyba najlepsze miejsce do życia.

Podczas jednego z takich spotkań Olga poznała Wierę Danczakową, która była nie tylko wybitnym naukowcem, ale także obiecującą pianistką. Wiera uwielbiała dobrą muzykę (żartowały często, że „tak jak wszyscy szanujący się Rosjanie”) i podziwiała piękny głos Olgi. Od pierwszej chwili między kobietami wywiązała się głęboka przyjaźń, zrodzona z wzajemnego podziwu i wzmocniana nostalgią za ojczyzną. Często można je było zobaczyć razem na koncertach pianistycznych, w operze i w teatrach muzycznych, których tak wiele ogłaszało się na nowojorskich afiszach.

I oto teraz Wiera proponowała Oldze pójście na występ młodego rosyjskiego pianisty i kompozytora, który dopiero co przyjechał do miasta, poprzedzany famą obrazoburcy i rewolucjonisty.

– Chcesz, żebym ryzykowała zarażenie się grypą po to, żeby obejrzeć muzycznego bolszewickiego dekadenta, będącego w klawisze steinwaya jak tatarski dzikus?

Odpowiedź Wiery, udzielona na drugim końcu linii telefonicznej, zbiegła się z protestującym gestem przysłuchującej się rozmowie obu kobiet Liny. Dziewczyna, popijając małymi łyżkami dzienną porcję wapna, mającego pomóc na niski poziom żelaza we krwi, żywo zainteresowała się koncertem i zapragnęła na niego pójść.

– Ja też chcę iść – powiedziała wysokim głosem do matki, która w gruncie rzeczy również miała ochotę posłuchać młodego rodaka.

– Siergiej Prokofiew – ciągnęła Olga, nie zwracając najmniejszej uwagi na Linę. – Tak, kobieto, jasne, że już o nim słyszałam. Czytam gazety i słucham radia. Futurysta, wizjoner niedawno przybyły z tajemniczej Rosji – mówiła, powtarzając słowo w słowo to, co o muzyku pisała nowojorska prasa. – Ale nie sądzę, żeby najbardziej mu przypadło do gustu określenie, które przykleiły do niego gazety: „najbardziej obiecujący młody muzyk rosyjski od czasu Igora Strawińskiego”. Tym, którzy zaczynają, nie podoba się zwykle, kiedy porównuje się ich z namaszczoneymi.

Lina przesłała matce szeroki uśmiech, dzięki któremu jeszcze bardziej załśniły jej egzotyczne oczy. Wiedziała, że Olga przyjęła zaproszenie Wiery w dużej mierze ze względu na nią. Lina odziedziczyła po swoich przodkach talenty artystyczne. Marzeniem jej życia stała się kariera śpiewaczki operowej. Była gotowa zrobić wszystko, żeby to marzenie spełnić. Wiedziała, że przed nią długa droga, ale pragnęła ją za wszelką cenę przemierzyć. Na prośbę rodziców, którzy nieustannie napominali ją, że powinna się nauczyć liczyć na siebie samą – „bo w życiu nigdy nie wiadomo, co się może zdarzyć i jak cię zaskoczy los” – Lina chodziła do szkoły biznesu,

gdzie zdobywała kwalifikacje sekretarki, a jednocześnie pobierała lekcje śpiewu. Dzięki kontaktom rodziców i własnej znajomości języków dość szybko znalazła pracę i nawiązała znajomości wśród elity kolonii rosyjskiej w Nowym Jorku.

– Mamo, nie powinnaś go nazywać bolszewikiem. – Pod wpływem słów córki na twarzy Olgi wykwitła mina niemalże komiczna. Rzadko udawało się zaskoczyć Olę nieoczekiwanym komentarzem. – Breszkowska wyjaśniała mi wczoraj różnicę między komunistami a bolszewikami i powiedziała, że ci drudzy są gorsi niż carat. Jej zdaniem, żeby mówić o Rosji, trzeba było w niej żyć, cierpieć i przede wszystkim ją rozumieć. A nie wszyscy mieli taką możliwość.

Lina od kilku tygodni pracowała jako tłumaczka, asystentka i stenotypistka Jekatieriny Breszkowskiej, nazywanej przez wielu Ciotką Rewolucji. Była to działaczka anarchistyczna, którą zesłano na Syberię za związki z organizacjami socjalistycznymi.

– Poza tym ona mówi, że rewolucja rosyjska to zamach stanu, który kompromituje ideę socjalizmu, a Lenin jest fanatykiem kontrolowanym przez niemieckich agentów – dodała Lina takim tonem, jakby czytała pod dyktando, co odbierało jej słowom wszelkie ślady wiarygodności.

Olga przyglądała jej się z wyrazem twarzy świadczącym zarówno o dumie, jak i o matczynym lęku. Sprawiało jej niekłamana satysfakcję, że córka jest z charakteru tak do niej podobna – silna, pewna siebie i zdecydowana – że ma w sobie tę nieokiełznaną swobodę, która dla połowy świata jest ledwie mirażem. Jednocześnie budziło to jej zaniepokojenie. Świat przekształcił się w zaminowane pole i konieczna była pewna ostrożność; trzeba wiedzieć, gdzie można postawić stopę i wbić sztandar wolności.

Olga nie reagowała na słowa córki przez kilka sekund, choć wydawało się jej, że mijają godziny.

– Mam nadzieję, że kiedy wejdiesz jutro do Carnegie Hall, będziesz umiała znaleźć inny temat do rozmowy, moja panno. Wiesz przecież, co oboje z twoim ojcem myślimy na temat polityki. – Widząc, że córka nie przyjmuje jej rady do wiadomości z należytą powagą, powtórzyła ostrzeżenie bardziej zdecydowanym głosem. – Lina, posłuchaj mnie uważnie: unikaj polityki tak samo jak grypy. To śmiertelnie niebezpieczny wirus i kiedy się nim zarazisz, trudno go zwalczyć. Zrozumiałaś mnie?

Młoda kobieta z przekonaniem pokiwała głową, aż zafalowały jej długie, bujne włosy koloru smoły, które odziedziczyła po ojcu. Nie bardzo wiedziała, co oznaczały słowa, które przed chwilą wymówiła, powtarzając jak papuga fragment jednej z licznych tyrad wygłaszanych przez Breszkowską. Ograniczyła się do zebrania nut na najbliższą lekcję śpiewu i do uporządkowania zbioru wycinków prasowych poświęconych Oldze, który trzymała w rękach. Lina z przyjemnością spoglądała na nazwisko matki pojawiające się w programach, przechowywanych w tekturowym pudełku wraz z egzemplarzami czasopism i gazet, w których pisano o Oldze. Marzyła, że któregoś dnia zdoła pójść drogą matki, że zostanie wielką śpiewaczką operową i będzie oglądać swoje nazwisko wypisane wielkimi, świecącymi literami na budynkach mieszczących najważniejsze sceny.

Tej nocy nieznanne jej dotąd niecierpliwe wyczekiwanie na wydarzenia dnia następnego nie pozwalało zasnąć z typową dla niej łatwością. W jej głowie rozpętała się wojna melodii, zwrotek i pieśni. Lina miała wielką ochotę posłuchać tajemniczego człowieka, o którym wszyscy mówili i z którym mało kto rozmawiał. Zmusiła się do zamknięcia oczu, mając nadzieję, że tym popędzi mijające godziny.

Carnegie Hall była wypełniona po brzegi. Wyglądało na to, że nikt nie chce przegapić tego, co ma się wydarzyć po południu. Zachwycona Lina przez kilka chwil wdychała charakterystyczny zapach tego miejsca. Robiła to z takim przejęciem, zamknawszy uprzednio oczy, że ktoś, kto by ją przy tym zobaczył, pomyślałby, że dziewczyna wprowadza się w trans albo że za chwilę zemdleje na środku głównego holu, ozdobionego subtelnymi ornamentami w tonacji białej i złocistej. Zupełnie jakby chodziło o jakiś rytuał, Lina wzięła trzy głębokie wdechy, próbując wciągnąć do płuc całe powietrze wypełniające pięć pięter, które składały się na majestatyczne wnętrze gmachu, przebiegła też w swojej wyobraźni wszystkie sto pięć stopni prowadzących do górnych łóż. Potem pozwoli otworzyła oczy i spojrzała na sklepienie, które wydawało się przyglądać jej i mówić: „Czekam na ciebie”.

Nie była w stanie określić dokładnie, jak pachnie ten teatr, ale wiedziała, że nie chce spędzić ani jednego dnia życia bez wdychania tej woni.

Przyszły dość wcześnie, popisując się punktualnością, którą wpajano Linie od małego jako pierwszą, zasadniczą regułę dobrego wychowania. Obecność Liny zawsze stawała się wydarzeniem. Jej egzotyczna uroda stanowiła idealne uzupełnienie naturalnej elegancji, którą dodatkowo wzmacniał dar konwersacji i dobry gust, jeśli chodzi o stroje. Magnetyzm młodej kobiety nieuchronnie przyciągał do niej spojrzenia wszystkich wkoło, zarówno mężczyzn, którzy nie mogli odebrać od niej oczu, jak i kobiet, nieprzystających się dziwić, jak z pozoru prosta suknia z czarnego jedwabiu z niewielkimi koronkowymi mankietami w niebieskawym tonie może tak idealnie podkreślać piękną kobietą sylwetkę. Jedynymi

dotatkami do sukni Liny były kołnierz z białego futra, kapelusik skrywający dyskretnie zebrane, falujące włosy oraz maleńka torebka zawieszona na długim i cienkim łańcuszku, huśtająca się tuż przy biodrze właścicielki. Linie zawsze udawało się zaznaczyć swoją odrębność od reszty publiczności, i to nie tylko sposobem ubierania się, ale także zachowaniem. Matka uśmiechała się, nie mogąc ukryć uczucia dumy, którym napawała ją córka. Lina przemieniła się w piękną kobietę, choć Olga wciąż potrafiła w niej dostrzec ekstrawertyczne dziecko o ładnych rysach i długich warkoczach.

Siedząc obok Wiery i matki, Lina zajmowała jeden z dwóch tysięcy ośmiuset czterech foteli sali koncertowej. Nie dało się tam już zmieścić ani jednej dodatkowej osoby. Wszyscy chcieli być obecni przy prezentacji nowej rosyjskiej sensacji w nowojorskiej świątyni muzyki. Kiedy zgasły światła, Lina zaczęła szybko i nerwowo mrugać powiekami, jakby przeczuwała, że nie będzie mogła tego zrobić przez cały czas trwania koncertu. Nienawidziła charakterystycznego festiwalu kaszlu i odchrząknięć, bez którego nie mógł się obyć początek żadnego koncertu. Orkiestra składała się w większości z rosyjskich muzyków, a dyrygował nią Władimir Altschuler. Wieczór rozpoczynała *II Symfonia e-moll* Siergieja Rachmaninowa, którego Lina poznała osobiście w 1909 roku i którego muzykę od tamtego czasu uwielbiała. Od pierwszych chwil zwrócił jej uwagę wzrostem, mocną budową, ogromnymi dłońmi z wydatnymi knykциями, a także wystudiowaną elegancją – był odziany w trzyczęściowy garnitur, niewątpliwie podkreślający jego sylwetkę i pasujący do nienaganych manier. Zapamiętała na zawsze wyznanie, które jej złożył:

– Słyszę muzykę w głowie. Kiedy ten dźwięk ustaje, przestaję ją zapisywać. To jest moja tajemnica.

Po tym dziele w programie koncertu nastąpiły krótkie utwory, a wśród nich, jak powiedziała jej na ucho Wiera

Danczakowa, *Scherzo na cztery fagoty* samego Siergieja Prokofiewa. Ale główna atrakcja nadeszła później: *I Koncert fortepianowy* autorstwa głównego bohatera wieczoru.

Lina zobaczyła wchodzącego na scenę mężczyznę: szczupłego blondyna o zgrabnej sylwetce, ubranego w idealnie skrojony frak, z bardzo krótkimi włosami zaczesanymi do tyłu z użyciem może nieco nadmiernej ilości brylantyny. Ogólnie postać artysty uderzała elegancją. Skierował się bezpośrednio do fortepianu, nie patrząc na publiczność. Lina nie potrafiła rozstrzygnąć, czy chodzi o przypadek nadmiernej pewności siebie, czy artystycznej wyniosłości. Kiedy palce pianisty rozpoczęły bieg po klawiaturze, młoda słuchaczka poczuła dreszcze. Weszła w nieznany jej wcześniej stan wewnętrznej napięcia, jakby stała się jednym z osiemdziesięciu ośmiu klawiszy fortepianu Steinwaya. Może jednym z pięćdziesięciu dwóch białych, które Prokofiew uwielbiał, a może jednym z trzydziestu sześciu czarnych, których od dziecka nie znosił. Chęć ich unikania doprowadziła go do skomponowania w wieku pięciu lat utworu w skali lidyjskiej – całkiem zresztą nieświadomie. W miarę jak trzy części wykonywanego teraz utworu przechodziły bez żadnej przerwy kolejno jedna w drugą, emocje Liny narastały. Przez chwilę czuła, że brakuje jej powietrza, a serce pompuje krew w szaleńczym tempie, grożącym rozsądzeniem jej piersi. Fala palącego gorąca zalała jej ciało. Jej umysł przestał dostrzegać upływ czasu, niewiele brakowało, by Lina przestała też dostrzegać przestrzeń pod stopami. Miała wrażenie, że płynie, że jest poza granicami rzeczywistości, w stanie bliskim ekstazy. Nigdy w życiu nie słyszała niczego podobnego.

Kiedy muzyka ucichła i Prokofiew natychmiast zdjął ręce z klawiatury fortepianu, jakby zaczęła go parzyć, w Carnegie Hall zapanowała pełna napięcia cisza. Słyszać było jedynie ciężki oddech mistrza, zmęczonego wysiłkiem. Po kilku



sekundach sala eksplodowała zgiełkiem aplauzu. Na twarzy kompozytora pojawił się nieśmiały uśmiech. Prokofiew uniósł już teraz wzrok, potoczył nim po rzędach teatralnych foteli i kolejno, coraz wyżej, po wszystkich piętrach sali, aż dotarł do poziomu najwyższego – górnych łóż. Publiczność prosiła go, żeby powtórzył utwór raz jeszcze. Zmuszono go do siedmiokrotnego wyjścia na scenę. Lina nie mogła przestać klaskać – biła brawo tak energicznie, jakby zależało od tego jej życie. Dopiero potem zdała sobie sprawę, jak bardzo bolą ją dłonie, które z powodu tak gwałtownie wyrażanego aplauzu przybrały cynobrowy kolor.

Miała ochotę krzyczeć, skakać, pozwolić płynąć łzom i zapisać w swojej pamięci obraz tego wirtuoza uczuć, który stał teraz na środku sceny i raz za razem zginał ciało w nieco sztywnych ukłonach, wyglądających niemal na hołdy składane publiczności. W pewnej chwili, kiedy sylwetka artysty wyprostowała się po kolejnym ukłonie, Lina poczuła, że niebieskie oczy Prokofiewa napotyka ją wzrok. Przez chwilę w tej wymianie spojrzeń skoncentrował się dla niej cały wszechświat. Nigdy się nie dowiedziała, czy takie zdarzenie rzeczywiście miało miejsce, czy też była to oniryczna wizja podsunięta przez jej podniecenie – ale tak to wtedy odebrała. Kiedy minęły już magiczne sekundy, młoda kobieta zaczęła klaskać z jeszcze większą siłą i entuzjazmem niż poprzednio. Jakieś dwie panie, które przekroczyły już pięćdziesiątkę, ubrane ekstrawagancko i eksponujące kosztowną biżuterię, posłały jej zaniepokojone spojrzenie. Nie rozumiały zachwytu dziewczyny czymś, co ich zdaniem zasługiwało jedynie na uprzejme i powściągliwe uznanie.

– Spójrz, co za oczarowanie – powiedziała jedna z nich, która wydawała się starsza, być może za sprawą nieumiejętnego doboru czerwieni szminki. – Wygląda na to, że ktoś się dzisiejszego wieczoru zakochał.

Śmiechy towarzyszące temu komentarzowi ześlodziły Linę, która nie miała zwyczaju gryźć się w język, gdy czuła się zaatakowana. Olga, znająca gwałtowne reakcje córki w podobnych sytuacjach, nie miała nawet czasu interweniować, żeby zapobiec spodziewanej ripostie.

– Niech pani nie opowiada głupstw. Czy panie niczego nie rozumiały? – Kobiety odwróciły się, skryte za zasłoną szeptów i śmiechów. Lina zwróciła się ku Oldze i Wierze, szukając u nich zrozumienia. – Niczego nie rozumiały! Dwie stare krowy bez rozumu, za to z pretensjami do wykształcenia. O takich opowiada tata. Chyba przespały cały koncert. – Oczy Liny lśniły takim blaskiem, że cała jej twarz wydawała się rozpalona pochodzącym od nich ogniem, zupełnie jakby dziewczyna miała wysoką gorączkę. – Taki piękny rytm... ta umiejętność zaskakiwania... harmonia i język... energia... końcowa apoteoza. To była czysta doskonałość!

– Kochanie, uspokój się, bo coś ci się stanie – ostrzegała ją potem w szatni matka, dopinając ostatnie guziki płaszcza i wciągając na dłonie rękawiczki, po tym jak schowała program koncertu do małej welwetowej torebki.

– Nie jest znowu taki przystojny... – dodała cichym głosem z nutą przyjaznej ironii Wiera, która nie potrafiła ukryć, że rozgrywająca się na jej oczach scena ją bawi.

– Kto? – spytała Lina wojowniczo, nie kryjąc swoich emocji.

– Och! No proszę cię, Lina... K t o ? – żartowała sobie Wiera, przesadnie akcentując to krótkie słowo, którym dziewczyna próbowała zademonstrować udawaną ignorancję w tej sprawie. – Upprzedzam cię, że aby stać się znaną sopranistką, trzeba być dobrą aktorką. A ty w tej chwili nie grasz za dobrze.

Droga do domu była dla Liny męką, gdyż musiała znosić komentarze, spojrzenia i żarty swoich towarzyszek.

Trwało to jeszcze po powrocie, kiedy wszystkie trzy zasiadły w mieszkaniu Olgi i Liny przy herbacie, żeby dokończyć rozmowę o koncercie. Niezależnie od tego, ile starań Lina wkładała w wychwalanie wspaniałej techniki Prokofiewa, nieokrzesanego radykalizmu i niepokojącego wigoru jego muzyki, słyszała w kółko jeden komentarz:

– To oczywiste, kochanie, wynika to z twoich słów: nie zakochałaś się w nim, tylko w jego muzyce i w sposobie grania. To zawsze mija. Może ta myśl cię uspokoi...

Tej nocy, w odosobnieniu własnego pokoju i mając ciemność za najważniejszego sojusznika, Lina, tak jak uczyła ją babcia Karolina, zamknęła oczy i raz jeszcze wsłuchiwała się w piękną melodię, która zdołała dostarczyć jej więcej emocji niż jakakolwiek znana wcześniej muzyka.

Nie musiała czekać dłużej niż parę tygodni, żeby się przekonać, że tym razem los postanowił stać się jej sprzymierzeńcem. Był zimny poranek, jak zawsze w lutym w Nowym Jorku. Lina szła do pracy w finansowej dzielnicy miasta. Cieszyła się z niedawno powierzonych jej obowiązków. Zarabiała prawie dwadzieścia dolarów tygodniowo, co pozwalało jej zachować trochę pieniędzy na własne wydatki, obejmujące właściwie wyłącznie ubrania, czasopisma i muzykę. Szła szybkim krokiem, uciekając przed zimnem, choć zwracała baczność uwagę, by unikać zaśnieżonych i oblodzonych fragmentów chodnika. Nie była pewna, czy bardziej boi się grypy, czy siniaków, którymi jej ciało mogło się pokryć w wyniku głupiego i na dodatek zawstydzającego upadku na ulicy. Kiedy miała do przejścia już ostatni, krótki odcinek dzielący ją od schodów do metra, musiała zwolnić kroku. Przeszukiwała nerwowo kieszenie płaszcza, ale nie mogła znaleźć pięciocentowej monety potrzebnej do opłacenia biletu. Zawsze przygotowywała ją sobie poprzedniego dnia wieczorem. Zdjęła

rękawiczki, aby umożliwić palcom swobodniejsze poszukiwania. Bez rezultatu. Rozejrzała się wokół siebie, sprawdzając, czy moneta nie upadła na ziemię. W tym momencie usłyszała głos, który sprawił, że podniosła wzrok. Zobaczyła państwa Stahlów – małżeństwo odnoszące przeróżne sukcesy i dobrze znane w Nowym Jorku, nie tylko w kręgach rosyjskiej emigracji. Lina czuła głęboki podziw dla Very Janacopoulos, słynnej brazylijskiej śpiewaczki o pięknym głosie, która wyszła za Aleksieja Stahla, znakomitego rosyjskiego prawnika. Stahl zasiadał w rosyjskiej Dumie, ale wyjechał z kraju, kiedy do władzy doszedł Lenin i bolszewicy utworzyli rząd. Potrafił właściwie zinterpretować słowa wodza rewolucji rosyjskiej, który ostrzegał przed „niepewnymi elementami” i wzywał do odizolowania ich w łagrach. Stahl zachował w pamięci słowa dekretu wydanego przez Lenina 8 sierpnia 1918 roku: „Należy zorganizować specjalną straż złożoną z wyselekcjonowanych ludzi godnych pełnego zaufania, aby przeprowadzić kampanię zastraszania przez masy ludowe kulaków – chłopów i producentów rolnych będących właścicielami wielkich gospodarstw – kleru i Białej Gwardii. Wszystkich podejrzanych należy internować w obozach koncentracyjnych”. Aleksiej Stahl znalazł się na takiej liście podejrzanych. Wobec grożącego mu niebezpieczeństwa postanowił przedostać się na drugą stronę Atlantyku. Jak w przypadku wielu innych obywateli rosyjskich, celem jego ucieczki były Stany Zjednoczone.

Stahlowie przekonali Linę, by poszła z nimi na pierwszą tego dnia kawę. Aleksiej obiecał, że potem odwiezie młodą znajomą do pracy swoim samochodem. Vera Janacopoulos – czyli Vera Diva, jak mawiał o niej mąż – namówiła ją z kolei, żeby przyszła na bardzo szczególny recital, który miał się odbyć w nowojorskiej Aeolian Hall. Stahlowie znali osobiście kompozytora i chcieli go przedstawić Linie, bo była osobą bardzo interesującą, młodą i miała w mieście niewielu przyjaciół.

– Siergiej Prokofiew? – Lina powtórzyła nazwisko, obawiając się, że jej rumieniec będzie zanadto widoczny. – Byłabym zachwycona, uwielbiam jego muzykę. Niedawno widziałam go w Carnegie Hall. Ale nie chcę, żebyście mi go przedstawiali. Nie zniosłabym kolejnych żartów mojej matki i jej znajomych na temat tego, jaka jestem „zakochana w jego muzyce”. Nie wytrzymałabym tego.

Lina usłyszała śmiech Aleksieja, który z ironią w głosie wspomniął coś na temat wielkich problemów młodości, ale tym razem postanowiła nie wpadać w złość i ograniczyła się do wymiany porozumiewawczych spojrzeń z Verą. Resztę dnia spędziła w stanie absurdałnej szczęśliwości, z niemądrym uśmiechem na twarzy i z wyobraźnią krążącą nad miejscem położonym przy Czterdziestej Drugiej Ulicy w centrum Manhattanu. Postanowiła nic nie mówić matce. Przynajmniej na razie.

Zdecydowała się na prostą, ale elegancką suknię w kolorze ciemnoczerwonym z delikatną czarną lamówką. Na wierzch założyła futro z szynszyli, które miało ją chronić przed zimą. Uwielbiała to okrycie, delikatne, eleganckie i skrojone tak, że idealnie dopasowywało się do jej figury. Był to prezent od ojca, który wkładała, chcąc uświetnić wyjątkowe okazje. Czymś takim właśnie był dla niej dzisiejszy koncert, niezależnie od tego, jak bardzo starała się to ukryć. Próbowwała przekonać samą siebie, że niepokój, który w niej narastał od chwili, gdy otrzymała zaproszenie od Stahlów, wynika jedynie z oczekiwania na muzykę rosyjskiego wizjonera. Ale nie zdołała się oszukać. Kiedy koncert miał się już rozpocząć, na moment przed zgaśnięciem świateł w sali, Lina wyjęła z torebki czerwoną szminkę i ukradkiem poprawiła kontur ust. Przez chwilę wstydziła się tego kokieteryjnego gestu, poczuła nawet, że się rumieni, czemu próbowała zapobiec, dotykając dłońmi twarzy.

Kiedy po koncercie Stahlowie zaproponowali, żeby udać się za kulisy, by przywitać się z Prokofiewem i pogratulować mu występu, Lina wymówiła się, twierdząc, że musi iść do łazienki, i zapowiadając, że zaczeka na Stahlów w holu. Vera uśmiechnęła się i matczynym ruchem poprawiła lśniące, faliste włosy Liny.

– Zaraz wracamy, nie odchodź – poprosiła dziewczynę.

Sala koncertowa powoli pustoszała, w końcu także hol zaczął świecić pustkami. Zegarek pokazywał, że Lina czeka już ponad piętnaście czy nawet dwadzieścia minut. Przez chwilę bała się, że znajomi o niej zapomnieli, było to jednak mało prawdopodobne. Myślała też, że może wyszli innymi drzwiami i czekają na nią na ulicy. Kiedy już dostatecznie znużyło ją słuchanie stukania własnych obcasów o posadzkę, postanowiła pójść na poszukiwanie Stahlów. Podchodziła właśnie do bocznych drzwi prowadzących do jednej z sal, kiedy nagle ktoś je otworzył, uprzedzając Linę gotową już do ich pchnięcia. W ten oto sposób Siergiej Prokofiew po raz pierwszy wkroczył w jej życie: przez drzwi.

– Tu pani jest – zwrócił się do niej najsympatyczniejszym tonem, jaki Lina kiedykolwiek słyszała. Jego głos wywarł na niej duże wrażenie. Nie tak go sobie wyobrażała. Prawdę mówiąc, w ogóle go sobie nie wyobrażała. Prokofiew wydał jej się młodszy, niż gdy widziała go na scenie, lekko pochylonego nad fortepianem. Przez chwilę czuła, że może utonąć w intensywnym błękitcie jego oczu, jakby znalazła się na środku oceanu. Nigdy wcześniej nie widziała tak magnetycznego koloru tęczęwek.

– Pani przyjaciele mówili mi, że się pani przede mną chowa.

– Ja, ja... – Lina próbowała coś mamrotać, ale język jej się zaplątał, jakby słowa, które próbowała wypowiedzieć,

musiały toczyć walkę z innymi, w których zawarte były jej prawdziwe myśli.

Prokofiewa bawiła ta sytuacja. Wykorzystał kilka sekund zakłopotania dziewczyny, żeby przyjrzeć się jej urodzie, idealnym rysom jej anielskiej twarzy naznaczonej rumieńcem, który dodawał jej jeszcze uroku, i przede wszystkim pięknemu uśmiechowi, od którego nie mógł oderwać oczu.

– Przez chwilę myślałem, że mój występ panią rozczarował i pobiegła pani do domu.

– Nie! Byłam zachwycona – powiedziała w końcu, odzyskawszy pewność siebie, co nastąpiło, kiedy tylko przestała mieć poczucie, że jej spojrzenie stało się więźniem oczu młodego kompozytora. – Sądzę, że Rachmaninowa zagrał pan po mistrzowsku, chociaż co do Aleksandra Skriabina... Z punktu widzenia precyzji zabrakło może odrobinę wierności tekstowi... według mnie.

– Ależ wydaje mi się, że *Etiudę nr 12* zagrałem bardzo ekspresyjnie – odpowiedział Prokofiew, rozbawiony, ale też nieco zasmucony komentarzem pięknej dziewczyny. – Nie chcę się usprawiedliwiać, ale ten przeklęty fortepian był dla mnie zbyt twardy. To nowy steinway i o mało nie złamałem sobie na nim palca – powiedział, pokazując kciuk lewej dłoni. – W każdym razie kazali mi wychodzić na scenę i kłaniać się dziesięć razy przed przerwą i osiem razy na końcu koncertu, a trzy razy nie miałem innego wyjścia, jak tylko bisować. Nie wspomnę już o pięćdziesięciu osobach, które omal nie urwały mi ręki, składając gratulacje.

– Wiem o tym – rzuciła Lina. – Ja też tam byłam.

– Proszę powiedzieć, czy zawsze jest pani taka szczerą? I przede wszystkim – wtrącił jeszcze jedno pytanie, przecierając białą chusteczką swoje niewielkie okulary – czy zawsze się pani śmieje w taki sposób?

Mówiąc te słowa, nie mógł oderwać oczu od ust młodej kobiety.

– W jaki sposób? – chciała doprecyzować Lina, bardziej zaniepokojona niż zawstydzona.

– No w taki... Pani już wie. Tak jakby za każdym razem był to pierwszy śmiech w pani życiu.

– Tylko wtedy, kiedy muzyka zdoła obudzić we mnie takie uczucia, jakbym słyszała ją pierwszy raz w życiu. Tak jak wtedy, kiedy słuchałam w Carnegie Hall pana *I Koncertu fortepianowego*.

– Naprawdę? – spytał Prokofiew, nie ukrywając, że jej wyznanie napełniło go dumą. – Proszę powiedzieć: podobało się pani?

– Wpadłam w ekstazę. – Ta odpowiedź wprawiła kompozytora w zdumienie, a jednocześnie sprawiła mu radość. – Pierwszy raz w życiu słyszałam coś podobnego. – Wytrzymali wzajemnie swoje spojrzenia przez kilka sekund; Lina miała w tej sztuce znacznie więcej doświadczenia niż on. – Oczywiście trzeba pamiętać, że grał pan na głównej scenie Carnegie, a to daje pewną przewagę: akustyka tam jest tak dobra, że sala staje się dodatkowym instrumentem. Wszystko, co w niej rozbrzmiewa, ma dużą szansę przejść do wieczności.

– Więc ja nie miałem w tym żadnej zasługi?

Szelmowski uśmiech Liny rozświetlił jej spojrzenie; wydawało się, że ten blask oślepi Prokofiewa.

Z jednego z korytarzy zaczęły dobiegać odgłosy przyspieszonych kroków. Po chwili nadeszli Stahlowie, którzy nie mogąc doczekać się bohatera wieczoru, postanowili go poszukać.

– Wie pani – odezwał się znów kompozytor do Liny – zaraz pójde do Sherry's z paroma przyjaciółmi, żeby wypić kilka piw i zjeść trochę sera. Uwielbiam ser! Potem pogram



w brydża, a kiedy dotrę do domu, otworzę swój dziennik i opiszę dzisiejszy wieczór. Ale o pani chyba nie będę dziś pisał. Wolę poczekać do jutra.

– Prowadzi pan dziennik? Cóż za strata czasu! Mógłby pan w tym czasie napisać jakąś wspaniałą partyturę – odpowiedziała Lina.

– Skąd pani wie, że to, co zapisuję w tym zeszycie, nie jest równie wspaniałe?

Prokofiew schylił się, żeby ucałować jej rękę, która okazała się gładka i delikatna. Lina z kolei zauważyła, że dłonie Siergieja są starannie wypielęgnowane; ten szczegół pozytywnie ją zaskoczył. Nigdy wcześniej nie widziała u mężczyzny śladów manikiuru.

– W każdym razie robię to w dość szczególny sposób. Nie znajdzie pani na kartach mojego dziennika ani jednej samogłoski.

Lina podjęła tę uwodzicielską grę. Nie tylko nie była dla niej nieprzyjemna – jak zapewne by się działo w przypadku jakiegokolwiek innej osoby, która ośmieliłaby się powiedzieć jej coś takiego – ale wręcz ją bawiła.

– Ach, tu jesteście – odezwał się w końcu Aleksiej Stahl, który nadszedł, gładząc, jak to miał w zwyczaju, swoją rudą brodę, przedmiot jego wielkiej dumy. – Widzę, że już się poznaliście, więc nie muszę was przedstawiać. – Ani jego, ani Very uwadze nie umknęły spojrzenia, jakie wymienili między sobą Prokofiew i Lina. – To dobrze. Skorzystam więc z okazji i zaproszę was oboje na weekend do naszego domu na Staten Island. Skrzyknęliśmy niewielką grupkę przyjaciół. Będzie miło. Starczy dla wszystkich wódki, podamy też wspaniałe brazylijskie danie, które Vera Diva przyrządza jak nikt inny. Więc jak? Mogę na was liczyć?

Lina nie chciała jeszcze potwierdzać swojej obecności, tłumacząc, że musi sprawdzić, jakie ma zobowiązania.